ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

№ 27. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 11 sierpnia 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA

TREŚĆ NUMERU: K. Statlerówna: Samorząd uczniowski w szkole. — Kongres Nauczycielski na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. — J. W. Kosmowska: Wrażenia z Powszechnej Wystawy Krajowej.— Wanda Melcer-Sztekkerowa: Pościg z pampasów. — H. Boguszewska: Z Górnego Śląska. — Dr. J. G: Łzy Św. Wawrzyńca. — Z poradni zawodowej: Kącik Poradnictwa.— Rozrywki umysłowe.



Z powszechnej Wystawy Krajowej (Wejście od ulicy Bukowskiej).

K. STATTLERÓWNA.

SAMORZĄD UCZNIOWSKI W SZKOLE.

(Dokończenie).

Samorząd, to pojęcie, zyskujące sobie coraz szersze prawa w życiu; oznacza ono pewien stopień dojrzałości i zarazem kształcenie do tej dojrzałości; zrozumienie praw własnych i cudzych, potęgę wspólnego wysiłku w imię wspólnego, widocznego dobra, zaradność i ofiarność, posłuszeństwo i kontrolę, spełniane przez równych sobie członków pewnego społecznego zespołu.

Wszystkie te siły wchodzą w grę na terenie jednej klasy, następnie jednej szkoły, która, praktycznie biorąc, jest już dla dziecka najszerzej zakrojonym światem jego istotnych zainteresowań.

Zacznijmy od *klasy*. Był w niej dawniej nauczyciel rozkazodawca, przeważnie życzliwy, lecz jakże daleki od świata dziecka, które w poczuciu sił swoich nadaremnie domagało się udziału w rządzeniu, w kierowaniu sprawami szkolnemi. Każdy samorzutny czyn ucznia nazywał się *samowolą* i podlegał surowej ocenie. Dziś rozumny wychowawca sam powołuje dziatwę do współdziałania. Klasę organizuje on w małą gminę, wyłania z pośród uczniów jednostki kierownicze, dzieli pracę, przeprowadza nadzór nad nią, obmyśla samopomoc, radzi nad potrzebami klasy, porozumiewa się z wychowawcą klasy i z zarządem szkoły.

Samorząd szkolny powstał i rozwija się jako istotna potrzeba życia szkolnego, ułatwia pracę nauczycielom i uczniom, pozwala wyzyskać ku dobremu młode siły, prężące się do czynu, jak para pod pokrywką. Skierować tę siłę, dać jej ujście — a przestanie być buntowniczym, niesfornym żywiołem.

A ileż sposobności daje swobodne życie szkolne! Dzieci lubią być pożyteczne, lubią, gdy pod rękami ich rośnie jakieś umiłowane dzieło; chętnie spełnią bez przymusu z własnej woli to, co pod naciskiem rozkazu zdaje się trudnem i niemiłem. Doświadczenie i potrzeba dnia codziennego każą im dbać o porządek w szkole, pomagać słabszym w lekcjach, stworzyć kasę na swoje drobne potrzeby, poprowadzić bibljotekę, ozdobić klasę według własnego upodobania. Głębokie, wrodzone poczucie sprawiedliwości, ambicji i współzawodnictwa zmusi samorząd klasy do wyśledzenia złodzieja, wyszorowania brudasa, poskromienia złośnika.

Nauczyciel, przewodnik i doradca, lecz gdy trzeba, dyskretnie nie mieszający się do sprawy, uzyska zawsze większy stopień szczerości i zaufania, niż gdyby wymuszał skargi i zeznania. Nauczyciel, uczestnik samorządu, wspólnie z klasą troszczący się, „jakby też to, a to zrobić“, osiągnie zawsze lepsze rezultaty pracy rąk dziecinnych, niż gdyby zrobił z tego przymusowe zadanie. Różne są typy, formy i nazwy samorządu klasowego w licznych już bardzo szkołach, które sięgnęły po tę wychowawczą metodę. Duch jednak wszędzie jednaki: szczerość wzajemnego stosunku nauczyciela i klasy, naprawdę i poważnie zainteresowanych w stanie szkoły; poczucie honoru klasy i szkoły, wspólne wychowawcom i wychowankom; wykorzystanie energji młodych rąk i zapału serc, jak wody dla młyna, i wreszcie celowe i konieczne zetknięcie dziecka z właściwą mu rolą członka grupy społecznej, z którą żyje i pracuje.

Nie ukrywamy, że przy najlepszej woli obustronnej niewszystkie wyniki są zadawalające. Młodzież wyłamuje się nieraz zarówno z pod narzuconych, jak i z pod dobrowolnie przyjętych obowiązków. Lecz odpowiedzialność jej już jest duża. Odwołując się do nakazu, uchwalonego przez własny samorząd klasy, nauczyciel ma oparcie nietylko w swoim autorytecie, lecz i w powadze całej klasy, jako prawodawcy i wykonawcy woli zbiorowej.

Tak wyrabiają się w młodzieży niezmiernie cenne zadatki karności wobec równych sobie, poszanowanie sprawowanego urzędu, posłuszeństwa prawu nawet tam, gdzie nie stoi za niem żadna siła brutalna.

Trudno wyliczać jeszcze inne pierwszorzędne wartości wychowawcze, osiągane na tle dobrze i w dobrych warunkach prowadzonego samorządu uczniowskiego. Jasnem jest, że tam, gdzie warunków tych brak, gdzie praca ma z ko-

nieczności charakter gorączkowy i zacieśniony, samorząd ograniczyć się musi do kilku najkonieczniejszych zajęć, powierzanych samym dzieciom podczas chwil, urywanych od godzin lekcyj. Do pracy na serjo, potrzebny jest warsztat na serjo, potrzebny jest czas i miejsce i materjał, nad którym trudzić się mają ręce dzieci w radości i wytrwaniu. To, co dziś daje szkoła, pozwala raczej na czynności samokontroli, niż samorzutnej twórczości.

To też najlepsze rezultaty osiągnęły te szkoły, które rozporządzają odpowiedniemi środkami. Sam fakt jednak, że złamane zostały raz na zawsze zapory, stojące między wychowawcami, a dziatwą szkolną, że weszliśmy już ręka w rękę na drogę współpracy, daje gwarancję szybkiego rozwoju wychowawczych wartości szkoły.

W ogólnym szkicu nie wchodziliśmy w szczegóły pracy. Czytelnik znajdzie je w miłej książeczce p. t. „Samorząd w szkole powszechnej“. (Nakład „Naszej Księgarni“ Zw. P. N. S. P., Warszawa, Świętokrzyska 18). Do bliższych zagadnień natury wychowawczej w samorządzie szkolnym powrócimy jeszcze kiedy, ponieważ każdy, kto dotknął się tej pracy, znalazł w niej prawdziwą kopalnię wskazówek na przyszłość i ostrzeżeń wobec dzisiejszych błędów pedagogicznych.

KONGRES NAUCZYCIELSKI NA POWSZECH. WYSTAWIE KRAJOWEJ W POZNANIU.

Związek Nauczycieli Polskich Szkół Powszechnych wespół ze Związkiem Zawodowym Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich zorganizował w Poznaniu wielki Kongres w sprawach nauczania i wychowania. Kongres trwał trzy dni: 6, 7, i 8 lipca. Pierwszego dnia obrady Kongresu odbywały się w wielkiej sali reprezentacyjnej P. W. K., następne w sali teatralnej Huggera.

W Kongresie wzięło udział kilka tysięcy uczestników - nauczycieli szkół powszechnych i średnich; liczny udział w Kongresie wzięli również urzędnicy administracji szkolnej z p. Ministrem W. R. i O. P., Czerwińskim, na czele.

W referatach, wygłoszonych na Kongresie, poruszone zostały najważniejsze zagadnienia, związane z rozwojem naszego szkolnictwa. Po referacie p. Ministra: „O ideały wychowawcze szkoły polskiej“, wygłoszone zostały referaty na temat konieczności: „Reformy programów i metod nauczania w szkole powszechnej i średniej“ (pp. Petrykowski i Świdwiński); koedukacji (poseł Jaworska); organizacji pracy w szkolnictwie wyższem (p. Odrzywolski); kształcenia i dokształcania nauczycieli szkół powszechnych i średnich (pp. Bórski i Wojeński).

Kongres, zapoznając szerokie koła nauczycielstwa z poglądami obu związków na najistotniejsze sprawy, dotyczące szkolnictwa, miał za zadanie obudzić wśród ogółu nauczycielstwa żywe poczucie konieczności reformy. Nie ulega też wątpliwości, że dając w referatach rzeczowe rozwiązanie wielu trudności, na które napotyka rozwój naszego szkolnictwa, Kongres przyczyni się do uzdrowienia stosunków.

Bezpośrednio po Kongresie nauczycielstwa polskiego odbył się, zorganizowany przez Zw. Naucz. Szk. Powsz., Zjazd słowiańskiego nauczycielstwa. Obecni na Zjeździe przedstawiciele nauczycielskich organizacyj słowiańskich na wniosek nauczycielstwa polskiego utworzyli wspólną organizację nauczycieli Słowian.

Zarówno Kongres Nauczycielstwa Polskiego, jak i Zjazd Nauczycieli Słowian, odbywające się w czasie trwania Powszechnej Wystawy Krajowej, przyczyniły się do dopełnienia tej żywej ilustracji dorobku kultury polskiej w ciągu 10-letniego istnienia Rzeczypospolitej, jaką jest Powszechna Wystawa Krajowa.

J. W. KOSMOWSKA.

WRAŻENIA Z POWSZECHNEJ WYSTAWY KRAJOWEJ.

Jednym z największych i najpiękniejszych gmachów na Wystawie jest niewątpliwie Pałac rządowy. Włożono w to wiele zabiegów i trudu, aby przedstawić, w jaki sposób Polska rządziła się w ciągu 10 lat swojej niepodległości. I pokazuje się, jak bezpodstawne były wszelkie narzekania; moc nasza rosła i rozwijała się na wszystkich polach, a wytężona praca utrwalała naszą niepodległość. I dziś cudzoziemcy, zwiedzający licznie ten pokaz naszego dorobku wszechstronnego, otwierają oczy w zdumieniu, że naród, pozostający tyle lat w niewoli, a w czasie wielkiej wojny ze wszystkich zasobów ogołocony, mógł tyle dokonać.



Z Powszechnej Wystawy Krajowej: Siewca.

Pomijając więc, narazie, inne sale, zwracamy się przedewszystkiem do działu, urządzonego przez wojskowość, a przedstawiającego naszą walkę o niepodległość. I nie możemy być dość wdzięczni jego organizatorom za to, że tak głęboko odczuli i wyrozumieli charakter narodowy. Przed laty widziałam w Berlinie sławną Aleję Zwycięstwa i Muzeum wojskowe. Ileż tam było buty zwycięzców, ile dumy z pokonania i ujarzmienia słabszych. U nas nic z tego. Płaskorzeźby, otaczające główną salę, to jedynie obrazy naszych walk wyzwoleńczych — Legjony, P. O. W., bajończycy paryscy, murmańczycy i inni, a wszystkie te usiłowania ogniskują się u stóp Naczelnego Wodza, który je zbudził z uśpienia i do czynnej roli powołał. Polskie sztandary! Już nie na Kremlu drętwieją w niewoli, ale powiewają dumnie nad wolną Ojczyzną. A potem praca wychowawcza w wojsku, która sprawia, że żołnierz nie jest ślepem narzędziem, ale świadomym swoich praw i zasług obywatelem.

A teraz przechodzimy do działu, który po zdobyciu wolności i utrwaleniu granic jest naszą największą chlubą. Przechodzimy do działu szkolnictwa. Zatarcie w duszy polskiego dziecka śladów niewoli, ciężkiego przymusu w narzucaniu mu obcego języka, było największem staraniem wychowawców, ci zaś, co zostali w tem wielkiem dziele do przewodnictwa powołani, pomyśleli przedewszystkiem o szkolnictwie powszechnem. Wszystkie warstwy ludności muszą być objęte przymusowem nauczaniem, każde, najuboższe dziecko ma równe z najbogatszem prawo do światła, do wszechstronnego rozwoju. Najprzód więc przypatrujemy się mapom, które przedstawiają ilość i rozmieszczenie naszych szkół powszechnych. Przyznaję się, że po raz pierwszy widzę coś podobnego. Wyświetlanie, używane od niedawna, do szyldów i reklam, zastosowano do celów naukowych. Za pomocą więc wyświetlanych punktów, a różnemi kolorami naznaczo-

nych, dowiadujemy się, że w Polsce jest już 26.000 szkół początkowych, widzimy w których województwach jest ich więcej, a w których mniej, czytamy zaś u dołu mapy, że 3 miljony 255.635 dzieci objętych jest już ogólnem nauczaniem, stanowi to 92,9% ogólnej liczby. Na mapie występują znów nowe światełka. To ilość szkół wysoko zorganizowanych, 7-klasowych. Ale jakoś ich niewiele jest jeszcze, tylko 31,9% dzieci może w nich pobierać naukę, znaczna większość musi się zadawalać 3, 4, 5, a nawet jednoklasowemi szkołami. Za to mamy już przeszło 60.000 nauczycieli i to coraz lepiej, na kursach wakacyjnych, przygotowywanych. Zdarzają się tacy, i to coraz częściej, co 13 lat się uczą, zanim przystąpią do swego zawodu. Bieda tylko z tem, że dzieci tłoczą się jeszcze często w dusznych i ciasnych izbach, bo nie mamy dostatecznej liczby budynków szkolnych. I czekać na to jeszcze długo musimy, bo chcąc pokryć Polskę odpowiednią liczbą nowożytnych gmachów szkolnych, potrzeba byłoby na to 4-ch miljardów złotych. Może jednak ten trud podejmie ofiarność obywateli, — tyle już dokonała.

Ale najwięcej nas już ucieszyło na Wystawie przedstawienie na niej w wykresach i fotografjach wewnętrznego życia szkolnego, przygotowującego nasze dzieci do późniejszej pracy obywatelskiej. To wdrażanie ich od lat najmłodszych do samorządu szkolnego, tworzenie kooperatyw, zakładanie sklepików uczniowskich, tworzenie kas oszczędności i t. p. Wszystko to zapoczątkowane w szkołach powszechnych, rozrastało się następnie w szkołach średnich, gdy szersze rozwinięcie umysłu wpływa także i na rozbudzenie uczuć społecznych i obywatelskich. Więc też i liczby, skromne jeszcze wśród dzieci, rosną wśród młodzieży. Oto mapa jednego tylko kuratorjum szkolnego w woj. warszawskiem. Jest tam 3.794 bibljotek przy szkołach, 1.151 sklepów szkolnych, 697 kas oszczędności, 466 organizacyj samorządu szkolnego, 309 drużyn harcerskich, 126 świetlic dla nauki i wypoczynku dla młodzieży, 103 pisemek przez młodzież redagowanych. A oto kilka obrazków. W Krakowie młodzież gimnazjalna pracuje w modelarni szkolnej nad budową samolotów. W Krzemieńcu, we wskrzeszonem obecnie Liceum, założonem niegdyś przez Czackiego, młodzież zarobkuje wewnątrz szkoły na swoje utrzymanie. Jedni szyją czapki, drudzy robią buty dla kolegów, inni jeszcze zajmują się fotografją i radjofonją, sporządzając sami aparaty.



Z Powszechnej Wystawy Krajowej.

To jest szkolnictwo ogólno-kształcące, przypatrzmy się teraz zawodowemu. Jest to może jedna z najważniejszych gałęzi nauczania, służy bowiem polepszaniu warunków bytu warstw pracujących. W Polsce, w ciągu dziesięciu lat, został opracowany i do potrzeb gospodarczych przystosowany program, na podstawie którego rozwija się nasze szkolnictwo zawodowe. Usiłowania rządu i bardzo żywe współdziałanie w tym kierunku inicjatywy społecznej, postawiły Polskę na wydatnem miejscu w tej dziedzinie wśród państw europejskich. Główny zastęp kandydatów i kandydatek do szkół zawodowych, to wychowańcy 7-oddziałowej szkoły powszechnej, do niektórych z nich jednak przyjmuje się także uczniów z 3 i 4-ch klas gimnazjalnych. Dla pracowników zaś młodocianych

do lat 18-tu, istnieją szkoły zawodowe dokształcające. Pozatem nauczanie praktyczne wprowadzono do wielu szkół powszechnych. W następnym artykule powiem obszerniej o pracach uczniów i uczenic, pomieszczonych na Wystawie. Do wrażeń zaś z ogólnego działu szkolnictwa, dołączam fotografję rzeźby „Siewca“, zdobiącą jeden z fragmentów Wystawy, bo wydaje mi się najodpowiedniejszą ilustracją dla pracy wychowawczej, siejącej najlepsze ziarno, na naszej, tak długo zaniedbanej, roli.

WANDA MELCER-SZTEKKEROWA

POWIEŚĆ

POŚCIG Z PAMPASÓW.

(Ciąg dalszy).

Kiedy zahartowany malec miał około roku, matka jego, koczująca ze swoją rodziną po lasach Chaco, uwiązała sobie syna w płachcie na



Rodzina indyjska.

gołych ramionach, skręciła na drogę kilka długich cygar, jedno wetknęła w usta swojego syna, drugie zapaliła, biorąc we własne sine wargi, i z małym zapasem „*fiambre*“ ruszyła na zachód, ku osiedlom białych. Przybywszy do chaty swojego uwodziciela, złożyła mu przed progiem chłopca, a sama, zwolniona z ciężaru, wróciła do swoich. Ten właśnie chłopiec, życzliwie przyjęty przez swojego ojca, stał się potem właścicielem licznych stad i ojciec Nieves, która łakomą była gratką dla każdego epuzera.

Sebastjan, naglony przez matkę, pojechał pewnego dnia do Los Flamencos, estancji owego indjańskiego podrzutka. Zresztą o wszystkiem tam było wolno mówić, byle nie o Indjanach, co pan domu uważał za osobistą aluzję i obelgę. Indjanie, zdaniem całego domu, to były bydlęta, nie zasługujące na nazwę człowieka, istoty przysypane, i słusznie, pyłem wiekowej pogardy. Nie było podobna przecież zatrudnić na estancji żadnego robotnika Indjanina, to „bydło“ nie było zdolne do żadnej pracy, ani na roli, ani nawet przy pilnowaniu stad. Po paru tygodniach uczciwego życia każdy zmiatał do siebie, w niedostępne lasy Gran Chaco, gdzie włóczyli się całemi gromadami, nadzy, choć pięknie ogoleni, strzelając do ptaków, łowiąc ryby, biedując wreszcie i głodując, byle nie pracować. Dzięki Bogu, pili i zarażali się łatwo wszystkiemi chorobami, tak, że było ich coraz mniej. Prawdziwa plaga. Tyle tylko, że nie kradli, cóż z tego jednak, kiedy nie chcieli także niczego pilnować?

Matka Nieves, biała kobieta, nadmiernej tu-

szy, siedziała przy stole w pokoju, który szumnie nazywali stołowym i krajała w cienkie paski sapażito (rodzaj dyni) na konfitury. Chwilę Sebastjan posiedział naprzeciwko niej, patrząc z odrazą na jej ręce brudne i lepiące się od jarzynowego soku, które, kiedy zbyt już były mokre, wycierała bez ceremonji w barchanowy szlafrok, nieopisanego zupełnie koloru, który miała na sobie. „Więc matka chce, żebym sobie sprowadzał do domu coś podobnego?“ — myślał i otrząsał się na samą myśl. Dowiedział się, że Nieves wyszła od rana z domu, i jeszcze nie wróciła, nad czem starsza senora ogromnie bolała. Pod pretekstem, że jej poszuka, Sebastjan wyszedł z izby, uderzywszy niezdarnie bokiem o fortepian, który rodzina niewiadomo kiedy, nadzwyczajnym nakładem pracy i kosztów, z Rosario aż sprowadziła, żeby dzieci były cywilizowane. Starsza pani chowała się w Corrientes w klasztorze i marzyła o tem, żeby jej córki, podobne chociaż mogły otrzymać wychowanie. Część wieka cennego instrumentu została jednak odrąbana siekierą, bo przy jakimś obrocie nie chciał się czarny zwierz zmieścić do izby. Mniejsza o to.

Po ścieżce, pokratkowanej dziwacznie przez cienie stojących koło domu olbrzymich kaktusów, Sebastjan odchodził coraz dalej od wielkiego domu o płaskim dachu, z mnóstwem niepotrzebnych ścian i zakamarków. Istotnie, było tu bogato, świadczył o tem sam sposób wybudowania hacjendy wygodnie, nadzwyczaj wygodnie. Mieszkać tutaj byłoby doskonale, właściwie o wiele lepiej, niż w domu ojcowskim, gdzie wszyscy, zajęci albo jakąś jedną myślą i tęsknotą, albo robieniem pieniędzy, zaniedbywali zupełnie sprawy codziennego komfortu.

— Boże odpuść — pomyślał ze strachem Sebastjan — mówię o tem tak, jakbym mógł zdecydować kiedykolwiek się z nimi połączyć.

Z pod nóg wyrwała mu się wielka ropucha, Sebastjan pamiętał o tem, że w tej okolicy było bardzo dużo wielkich, brunatnych ropuch, które smętnie kumkały wieczorem. Mówiono, że dotknięcie takiej ropuchy sprowadza owrzodzenie i pryszcze. Zaniepokojony, potarł sobie nogę.

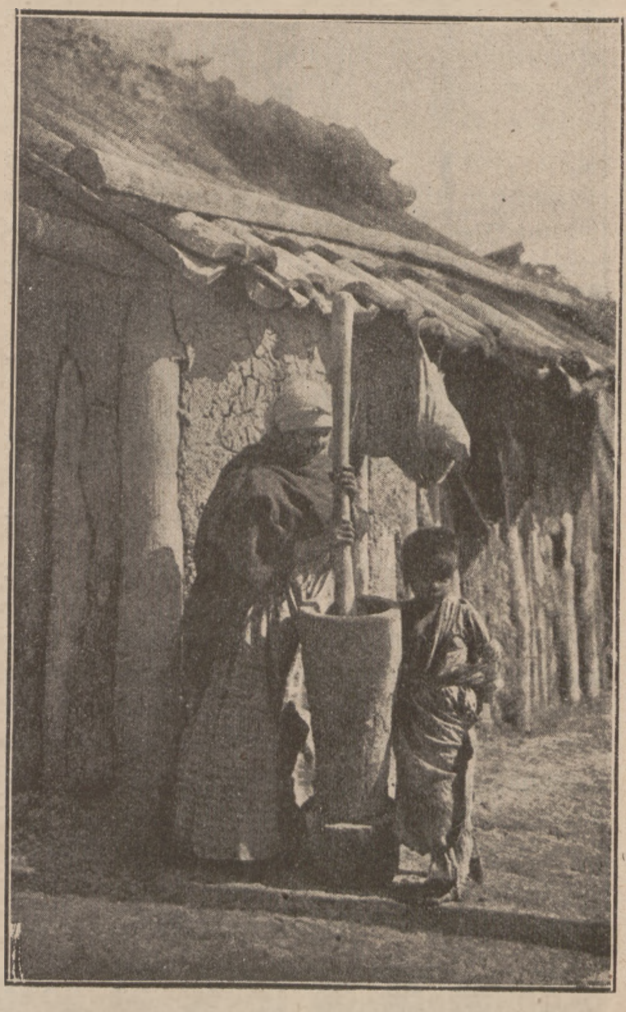
Nieves nie była wcale tak daleko, jak myślała jej troskliwa matka. Sebastjan nie uszedł jeszcze i pół mili, idąc wąwozem, pozbawionym światła, na dnie którego wzbierał nikły strumień, kiedy mignęła mu pod cieniem drzew i zaraz chwyciła go za rękę:

— Cicho — syknęła przez zęby z nieopisaną pasją.

Poszedł za nią na palcach, ciągniony właściwie przez jej małą, silną, bronzową dłoń. Parę razy musiał pochylać głowę, bo dziewczyna nie zwracała na niego uwagi, i nie miał się czem bronić przed niskiemi gałęziami. Nagle stanęła, jak pies gończy, kiedy zwietrzy antylopę.

— Jest! — krzyknęła i puściła jego rękę, przyklękając. Ukląknął koło niej, nie wiedział, o czem mówiła i o co jej właściwie chodziło, ale ciemna atmosfera zieleni ziała tajemnicą.

W sidłach z mocnego sznurka szarpał się po ziemi maleńki, prążkowany ptaszek. Pewno już osłabł ze znużenia i trwogi, ale na widok ludzi zatrzepotał się ostatniemi siłami, wydając z siebie żałosny ćwierk. Piękne, czerwone piórka na jego czole, pokropione czarnemi plamkami,



Mielenie ziarna w stempie.

które metalicznie połyskiwały, nastroszyły się we wspaniały wachlarz.

— Widziałam go, kiedy tu przyleciał, nie wiem wcale skąd, bo pierwszy raz go spotykam. I w tem samem miejscu — mówiła Nieves prędko, objaśniając — i zawsze tu, na tej gałęzi siada, kiedy złapie muchę. Już trzecią noc zastawiam na niego sidła, ale nareszcie jest. Wiedziałam, że go wreszcie złapię!



Indyjska dziewczyna.

Zanim mógł cośkolwiek odpowiedzieć, już mała, bronzowa ręka sięgnęła po trzepoczące się, trwożliwe istnienie, podczas kiedy druga jednym żwawym, nieobliczalnym ruchem wyrwała z czubka czerwony wachlarz piórek, który już stał się z dwóch stron czerwony.

Sebastjan aż jęknął, jak zraniony ptak.

— Nieves!

Spojrzała na niego zdumiona.

— No, więc co?

Wyrwał jej z ręki ptaka, daleko odepchnął niedobre, skrwawione dziewczysko. I cóż z nim robić? I cóż z nim robić? Trzepoczący się, nieprzytomny od bólu ptak, mierził w ręku, jak żmija. Czy zrobić mu na głowę okład z własnej koszuli? Aż się zachłysnął od szczęścia, kiedy męczennik przemknął mu między palcami i gdzieś, wśród liści, jęcząc czysto i żałośnie dwiema minorowemi nutkami, przepadł.

Nieves, z zaciętemi ustami, Nieves, obrażona i nagle pobladła, stała pod drzewem, spoglądając na Sebastjana ze źle ukrywaną zgrozą. Patrzył na nią, i w jej spłaszczonym nosie, w jej czarnych, aż niebieskich i prostych, jak druty, włosach, w jej wystających kościach policzkowych dojrzał zwycięski stop dwóch ras, okrutnej rasy hiszpańskiej i czerwonej rasy dawnych panów tego kraju. Jej płaskie, blade usta otworzyły się powoli, kiedy powiedziała szyderczo:

— Ma rację donna Dolores, nazywając ciebie gringo, ty cudaku. Powinieneś się wynieść do Gran Gringeria, tam jest dla ciebie miejsce.

Potem jej osiemnastoletnie oczy zalśniły łzami:

— Takiego ptaszka mi wypuścić! Takiego ptaszka!

Rozgryzł ze smakiem obelgę — Gran Gringeria, to był Kraj Cudzoziemskich Głuptasów, jak prości gaucze nazywali wogóle wszystko, co nie było Ameryką, to był kraj, zaludniony przez obcych niedołęgów. I nagle — no tak, cóż miał wogóle zrobić? Ręce same mu się wyciągnęły i otoczyły krępą kibić kwarteronki, na jej bladych ustach całował obelgi, a może, może nawet także krew małej muchołówki. A potem płaskie usta z nieoczekiwaną siłą oddały mu pocałunek, pocałunek, na który nie czekał i którego się nie spodziewał. Potem wszystko przepadło, był sam.

Uciekła.

(D. c. n.).

Z GÓRNEGO ŚLĄSKA.

HUTA.

Kopalnia — to jakby odwrotność cynkowni. Tu jednostajna, szara ciemność — tam różnokolorowe ognie. Tu cisza, pełna przyczajonej grozy — tam jasny, ostry zgiełk. Tam demon pracy występuje w zupełnie teatralnych, świetlnych efektach — tu w nieuchwytnem oddziaływaniu wszystkiego tego, co się składa na Ducha kopalni.

Ale jedno jest wspólne: czy w mroku, czy w kolorowem świetle ludzie pracują najzwyczajniej własnemi rękami. Leją płynny cynk z mufli do tygli, z tygli do form, nakładają do mufli blendy i galmanu. Wiercą węglową skałę świdrem, rozsadzają lignozytem, ładują rozkruszoną na wózki. Obcą może być technika tej pracy. Praca sama przez się jest jasna i zrozumiała.

A w hucie żelaznej jest całkiem inaczej. Tu pracują maszyny. Ludzi nie widać, jakby ich nie było.

Maszyny olbrzymie, czarne, imponujące, kolosy z żelaza pracują same — i wiedzą, co robią. Raz mi się zdawało, że jedna z nich nic nie wie, że stało się coś nieprzewidzianego i czarny potwór nie będzie wiedział, co począć, nie będzie umiał sobie poradzić. Układał właśnie ogniste polana z rozżarzonego żelaza rzędami po pięć — zawsze i niezmiennie po pięć, jakby pięć zapałek. Wtem jedna taka purpurowaa sztaba pękła i przełamała się wpół. Co teraz będzie?

Wysuwa się inna żelazna łapa maszyny i odtrąca purpurowe, rozżarzone polano, jak złamaną zapałkę, do zagłębienia, w którem się widocznie gromadzą uszkodzone sztaby. I już na miejsce usuniętej idzie nowa sztaba — żeby koniecznie było pięć. I znów wszystko idzie po dawnemu, zupełnie niezmiennie, nieprzerwanie: po pięć, po pięć, po pięć....

Roztopione, płonące żelazo leje się z kranu wprost w formy. Takie wielkie formy, kształtu wielkich koszów na papiery. Z uszami.

Formy są już pełne. Dobrze. Ale jak wydobyć z nich bloki?

Ach, nie turbujmy się o to! Już się spuszcza z góry żelazna ręka, łapie formę za uszy, przechyla, przewraca — już ogniste, purpurowe bloki stoją rzędem, jak niewinne babki z piasku, wyjęte z blaszanych foremek. A piekielny żar od nich bucha, aż pot płynie po twarzach...

Spuściła się zgóry, jak „żóraw“, inna żelazna ręka. Chwyta ogniste bloki delikatnem, niezawodnem ujęciem. Unosi, jak piórka. Ustawia w innem miejscu.

W walcowni wiją się po czarnej ziemi ogniste, purpurowe węże. Pełzają same, poruszane niewidocznym ruchem walców. Same dobrowolnie włażą w twory pieców — żeby wyjść z drugiej strony. Muszą, bo gdyby nie chciały, zapędzi je mały, czarny człowiek, czarnemi widłami. Albo i miotłą! Tak. Zwyczajną miotłą dwóch robotników zagarnia pod potworny walec wielką, grubą płytę z rozżarzonego żelaza, która się po każdem takiem przejściu ściemnia i rozciąga na blachę? Tu się dzieje wszystko, jak w bajce o Ognistym wężu i żelaznej stopie.

Czyż mamy uwierzyć, że czerwoną płytę pcha zmienny ruch walców, a miotła tylko omiata?

Że żórawiem kieruje ukryty w żelaznej klatce mały, półnagi człowiek, oddychający rozpalonem powietrzem, od którego robi się słabo „zwiedzającym osobom“!

Oczu nie można oderwać od tego wszystkiego: od pełzających, ognistych wężów, od purpurowych, buchających żarem blasków, od całych strumieni żelaza wijących się wśród piaskowych grzęd, jak całe pole ognia. A przez to piekło pracy, przez zupełnie ogłuszający łoskot maszyn przedziera się miarowy huk parowego młota, jak bijące serce Huty. Coraz głośniejszy.

Idziemy w tę stronę — przystajemy tuż przy nim, patrzymy, jak spłaszcza czerwony, żelazny stożek, wybija w środku dziurę — i ze stożka robi się koło. Zwyczajne koło, takie, jak do wagonu. Potem drugie, trzecie.

Sygnałów żadnych nie widać. Widocznie młot też wie sam, co ma robić — jak wszystkie maszyny.

Z cynkowni, z kopalni wychodziło się, myśląc o człowieku. że tak oto pracuje. że tak właśnie musi pracować. Z Huty wychodzi z oczami pełnemi czerwonego ognia i żelaza, z uszami pełnemi huku, z głową pełną maszyny. Poprostu ukarza się przed potęgą maszyny. I zredukowaniem roli człowieka wobec żelaznej ręki — którą sam sobie wymyślił.

Dr. J. G.

ŁZY ŚW. WAWRZYŃCA.

Któż z nas nie zna zjawiska „gwiazd spadających“, owych krótkich, tajemniczych błysków, które w pogodne, zwłaszcza sierpniowe noce, przeszywają szybko nasze niebo, by zaraz zagasnąć. Podanie głosi, że jeśli podczas krótkiej chwili pojawienia się „gwiazdy spadającej“ wypowiemy jakieś życzenie, choćby najbardziej fantastyczne i trudne do zrealizowania, to spełni się ono niezawodnie.

Jak nazwa wskazuje, zjawisko „gwiazd spadających“ przypisywano dawniej gwiazdom, które z niewiadomych powodów opuszczają swe odwieczne stanowiska na niebie i spadają ku ziemi. Obserwowano je od niepamiętnych czasów. Już najdawniejsze kroniki chińskie zawierają liczne wzmianki, podające dokładne daty tych nocy, podczas których „gwiazdy spadające“ pojawiały się w wielkiej ilości w postaci istnego deszczu niebieskiego“.

Nowoczesna nauka problem ten rozwiązała w zupełności, wyjaśniając istotną przyczynę zjawiska. Systematyczne bowiem obserwacje naszego nieba, oraz zastosowanie metod rachunkowych wykazały niezbicie, że mamy tu do czynienia nie z gwiazdami, jak dawniej przypuszczano, lecz jedynie z drobnemi, w istocie swej niewinnemi, okruchami materji kosmicznej, zwanemi meteorami, wagi zaledwie niewielu gramów, które, pod wpływem siły przyciągania słońca, obiegają je dokoła po linjach krzywych, a zbliżywszy się ku ziemi, wpadają z ogromną szybkością w jej atmosferę, zapalając się wskutek tarcia o jej cząsteczki. Mniejsze przechodzą wprost w ciała gazowe, większe czynią to tylko częściowo i, przebiegłszy kilkadziesiąt kilometrów w obrębie atmosfery, powracają w przestrzeń międzyplanetarną, gasnąc natychmiast. Zupełnie wyjątkowo zaś przytrafiają się wśród nich nieco większe odłamki, które, przezwyciężywszy opór powietrza, spadają na powierzchnię ziemi, gdzie je czasem odszukać można.

W czasie kilku krótkich chwil swego pobytu w obrębie naszej atmosfery, meteory ulegają ogromnym zmianom temperatury. Przybywają bowiem z przestrzeni pozaziemskich zimne i wychłodzone do temperatury absolutnego zera (—273° Celsjusza), w ciągu zaś paru chwil przelotu przez warstwy powietrza rozgrzewają się na skutek tarcia na swej powierzchni do temperatury 10.000° C., co powoduje ich jasne, nieraz okazałe świecenie, mimo niewinnych w rzeczywistości rozmiarów.

Gwiazdy spadające pojawiają się każdej nocy, jak badania statystyczne wykazują, w ilości średnio kilku na godzinę. Istnieją jednak noce, jakby specjalnie uprzywilejowane, podczas których dostrzegamy gwiazdy spadające w większej ilości, czasem zaś nawet w postaci „deszczu gwiazdowego“. Te, t. zw. „roje“, pojawiają się regularnie w pewnych porach, lub nawet określonych ściśle dniach roku i niektóre z nich są pod kontrolą obserwatorów już od kilkunastu wieków. Gwiazdy spadające, przynależne do pewnego roju, odznaczają się tem, że wszystkie zdają się wyłaniać z określonego punktu nieba, stanowiącego „punkt promieniowania“ roju.

Najokazalszym ze wszystkich rojów (nauka zna ich obecnie około 3.000) jest bezwątpienia „rój sierpniowy“. Występuje on corocznie w końcu lipca, ale dopiero w ciągu miesiąca sierpnia osiąga swe największe natężenie. Jest to rój najdłużej trwający ze wszystkich, bo aż 6 tygodni i dlatego ogółowi najlepiej znany. Największe jego natężenie przypada na 10 sierpnia, stąd też przez lud nazwany został „łzami św. Wawrzyńca“, od patrona, którego święto na ten dzień przypada. W nauce rój ten nosi nazwę Terseidów, ponieważ punkt jego promieniowania znajduje się w gwiazdozbiorze Terseusza, widocznym obecnie wieczorami nad wschodnim horyzontem. Rój sierpniowy obserwuje się już od roku 830 po Chr.

Meteory, powodujące zjawisko roju sierpniowego, obiegają słońce, według dotychczasowych obliczeń, po olbrzymiej, wydłużonej elipsie, sięgającej daleko poza orbitę najdalszej z planet, Neptuna. Wpadają one do atmosfery ziemskiej ze względną (w odniesieniu do naszej ziemi) prędkością, 60 km. w sekundzie, zapalają się średnio na wysokości 113 km., gasną zaś na wysokości 89 km. nad powierzchnią naszego globu.

Są to szczątki jasnej komety z r. 1862 III, którą, jak wszystkie zresztą komety, należy uważać za luźne zbiorowisko dużej ilości meteorów, takich właśnie, jakie występują w rojach. Kometa ta, wskutek destrukcyjnie działającej na nią przez czas dłuższy siły przyciągania słońca, została z czasem rozprószona wzdłuż swej orbity i odtąd w postaci jakby ruchomego, obszernego pierścienia otacza słońce, obdarzając nas corocznie ognistym deszczem.

Z PORADNI ZAWODOWEJ.

KĄCIK PORADNICTWA.

Czy Poradnia Zawodowa jest cudownem lekarstwem na wszystkie troski? Czy istnieje gdzieś taki zawód, o którym narazie nie wiemy, ale który napewno będzie się nadawał dla „naszej“ córki? Zawód taki, że zapewni jej dobrobyt, zadowolenie; trzeba go tylko znaleźć, a od tego jest przecież Poradnia....

Chociaż „nasza“ córka, mówiąc już szczerą prawdę, nie ma chęci do niczego. Do pracy ręcznej takiej, jak: krawiectwo, bieliźniarstwo, koronkarstwo, haft, modniarstwo i t. d. Frania czuje zdecydowaną niechęć, nawet wstręt. Zresztą, jeżeli raczy coś uszyć lub zrobić robótkę, to tak niedbale, brudno, że w żadnej pracowni nie zechcieliby takiej pracownicy.

Na pielęgniarkę lub ochroniarkę Frania nie poszłaby nigdy, bo nie znosi chorych i dzieci, bo jest niecierpliwa, nieuważna, opryskliwa, nieporządna, kłótliwa. Ogrodnictwo? gospodarstwo? — fe! to „brudne“ i ciężkie zajęcie! Tembardziej praca w fabryce.

Zdolności specjalnych Frania nie posiada żadnych, ani do śpiewu, ani do muzyki, ani do rysunków. Mogłaby się kształcić dalej, iść do gimnazjum; rodzice mogą łożyć na naukę. Ale cóż, kiedy w szkole wszyscy „uwzięli się“ na biedną Franię i odradzają jej stanowczo dalszą naukę, mówiąc, że szkoda czasu i pieniędzy, gdyż jest niezdolna, a przy tem leniwa, wcale nie chce się uczyć. Więc już ani urzędniczką, ani nauczycielką nie mogłaby zostać, zresztą i to nie podoba się Frani, nie lubi słuchać, woli rozkazywać, nie cierpi dzieci i nauki. Telegrafistką lub telefonistką Frania nie chce być — nie ma dosyć cierpliwości, powiada, nie usiedziałaby dłużej na jednem miejscu. Ale być ekspedjentką w sklepie, co to — to nie! — nie lubi się męczyć.

I tak jest z każdym zawodem, w każdym znajduje Frania coś nieodpowiedniego dla siebie i żaden jej się nie podoba— dlaczego?

Bo Frania *nie umie i nie chce pracować.*

Dr. E. Zdziarska.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Letni Turniej Zadaniowy.

3. REBUSIK.

(za rozwiązanie 2 p.)



Jan Stratilato.

4. BILET WIZYTOWY

(za rozwiązanie 3 p.).

DON PEDRO K. DIAZ y TALWEIRO

Odczytać zawód tego pana

Wacław Teitelbaum.

5. SZARADA

(za rozwiązanie 1 p.)

Gdy tak marzyłam o wieczornej porze
wchodzi listonosz. Daje list—o Boże!
Wszak to ostatnia dzisiaj *druga—czwarta*
niezapłacona—a tu butów zdarta
trzecia — druga, a w kieszeni dziury!
Ach cóż za *wszystka!* Cóż za los ponury.
Szczęściem *czwarty—pierwszy*, czy też *pierwszy—czwarty*
istnieje. Dobrze. To też nie na żarty
biorę go w obroty pewna powodzenia
No i koniec. Tymczasem *trzecia!* dowidzenia!

Ewa Szubiakowska.

Warunki uczestniczenia w *Letnim Turnieju Zadaniowym* zostały podane w 26 numerze tygodnika. Termin nadsyłania rozwiązań z niniejszego numeru upływa dn. 25 sierpnia 1929 r. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem: *Redakcja tyg., „ŚWIAT, DOM I SZKOŁA" Warszawa, Hipoteczna 5 „Rozrywki Umysłowe"*

Rozwiązanie zadań z Nr. 23.

NR. 1. KRZYŻÓWKA

	K	O	K		I	G	O		R	U	M	
	O		A	P	A	R	A	T	Y		A	
	L	E	T	A		O		O	P	A	R	
K	O	M	P	R	O	M	I	T	A	C	J	A
R	R				E		B				A	R
O			P	E	R	F	U	M	Y			K
K	A	M	A			A			S	A	L	A

NR. 2. CIĄGÓWKA

Wprost:

KASA. TAMA. LAK. LAWA. DAR.

Wspak:

RADA. WALKA. LAMA. TASAK.

Trafne rozwiązania zadań z Nr. 23 nadesłali pp.:

Bondorowski Jerzy w/m. Chrzanowski Jan w/m. Czaglej Teodor w/m. Jarmulski Edmund—Modlin. Jarmulski Saturnin—Modlin. Kamińska Kamilla—Sulejówek. Kamiński Stanisław — Sulejówek. Kozłowski Czesław w/m. Mietyn Józefa w/m. Policzyński Leonard — Rembertów. Tietz Zygmunt w/m. Wójtczak Janina w/m. Finkiel Leon—Ostróg n/Horyniem.

Nagrody wylosowali pp.:

1. Wójtczak Janina w/m.
2. Czaglej Teodor w/m.
3. Mietyn Józefa w/m.

Nagrody rozsyłamy.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 152-71.
Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.
Administracja czynna codziennie od g. 9-ej do 3-ej. pp.
WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.
Konto P. K. O. Nr. 19929.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Telefon 293-47.